

M. JOKAJ.

## RODZINA BARDY

NOWELA.

4)

Już nie słyszał tych słów stary, popędził po schodach, kazał sobie otworzyć tylne drzwi, stanął na dziedzińcu, który już był w ręku napastników i zaczął mówić błagalnym głosem do oblegających.

Usiłovali oni zburzyć jeden z kamiennych słupów bramy i jeden z nich skoczył przez wywalony otwór. Do tego zwrócił się Szymon. Poznał go.

— Synu Lupuj, czego chcecie tutaj? czyśmy was zaczepiali? Przypominasz sobie, ile wyraziłem ci dobrego, nie kazałem ci leczyć żony w słabości? nie wykupiłem ciebie z wojska? nie dałem ci dwie ładne jałówki, kiedy ci wyginęło bydło? Czyż mię nie poznajesz, synu Lupuj?

— Nie jestem ja teraz Lupuj, ale powstańcie! — krzyknął Wołoch i wielki młot spadł całym ciężarem na siwą głowę błagającego starca. Ten z przeraźliwym krzykiem upadł i skonał.

W tej chwili pękł filar, z nim razem runęła brama, a przez wyłom jak rój sypała się tłuszcza, pędząc ku trupowi, którego głowę odcięli siekiera.

Na górze w rondelli przypatrywali się tej scenie.

Na widok tego wypadku Barabasza z zabiegłymi krwią oczyma jak wściekle zwierzę z komnaty; Józef przycisnął się do ściany i w chwili, kiedy na dragu podniesiono krawą głowę starca, zastrzelił go, co trzymał drag w rękach. Pochwycił ją drugi, zastrzelił i tego. Strzelał i zabijał każdego, kto tylko się dotknął głowy, aż w końcu już się nikt nie odważył wziąć jej do ręki.

Wdowa w żalobie nabijała broń, Tomasz siedział spokojnie w krześle poręczowym.

Tymczasem Barabasza wybiegli na strych. Tam leżały kawałki rozebranych pieców żelaznych; poznał je więc do okna głównym wchodem.

Potem wychylił twarz swoją rozżarzoną i spojrzał po tłumie, czekając, aż się zbiorą przed drzwiami i zaczną je pchać i walić.

Wtedy wzniosł obydwiema rękami cętnarowy kawał żelaza ponad głowę i rzucił go w środek ścieśnionego tłumu.

Głuchy rozległ się okrzyk, oblegający odskoczyli od bramy, czterech lub pięciu padło na ziemię, zgniecen i zrzuconym ciężarem.

Po chwili tem wścieklej rzuciła się banda na bramę, a cały pałac zasypał grad kamieni.

Barabasza, nie zważając na lecące kamienie, usiadł w oknie i rzucał stamtąd ciężkie bryły żelaza, posyłając za każdym razem dwóch lub trzech na tamten świat.

Z rondelli padały strzały jeden za drugim. Ani jeden nie padł daremnie. Napastnicy dużo stracili i już stracili odwagę, kiedy jeden służący cały błądł wpadł do Barabasza, dając znać, że oblegający wciskają się z tyłu po drabinach, a służba nie może im dać rady.

Z wściekłością rzucił się Barabasza.

W tylnej komnacie leżał sam jeden koniuszy, zarzucony na śmierć kamieniami i już można było słyszeć krzyk ciskanej się zgrai, która przysłała drabinę i drapała się do góry.

Tam wpadł Barabasza. Zobaczył, że do okna drugiego pokoju przystawiona jest drabina, po której dobywają się Rumuni, podczas gdy przez drugie okno widać już głowy napastników.

— Naprzód totryl! — krzyknął cały rozogniony, chwycił koniec drabiny, przewrócił ją na drugą stronę, wstrząsnął nią tak, że pospadali z niej wszyscy; potem nadludzką siłą podniósł ją do góry i wywinawszy ją w powietrzu z obropnym zamachem, uderzył w drugą drabinę.

Po tem okropnym uderzeniu załamała się w środku, górna jej część wraz z wiszącymi upadła na ziemię, jeden z nich zawisł przy oknie dopóki po okropnych wyłężeniach nie spadł i nie rotrząsał się na dole.

Usta Barabasza pokryły się pianą, krew zabiegła oczy, twarz posiniąła. Z taką twarzą wpadł do przyległego pokoju.

Był tu jeden z oblegających, który szedł na przedzie. Tego tu zastał.

Człowiek ten zbłądł i wypuścił młot z ręki na widok Barabasza. Zdrętwiał z przestachu — tak okropnie wyglądał ten olbrzym.

Z próżną ręką, ale szalonym gniewem rzucił się na nieprzyjaciela, a chwyciwszy go za wyciągniętą niby błagalnie rękę, przyciągnął do siebie i wyrzucił przez okno. Człowiek ten mlynkując w powietrzu, poleciał daleko.

— Tutaj, tutaj, kto chce umierać! — krzyczał atlesta. Krew ciekła mu z ust wskutek uderzenia kamieniem. — Tu do mnie, ilu was jest!

W tej chwili rozległ się okropny hałas.

Wołosi znaleźli drzwiczki, które Szymon nierozważnie zostawił otwarte i już dobyli się do wnętrza budynku, kiedy to spostrzegła jakaś służąca i krzykiem krew w żyłach ścinającym dała znać obłożonym o niebezpieczeństwie.

Zabito ją na miejscu.

Barabasza, usłyszawszy ten krzyk, chwycił ciężki swój młot i pobiegł na schody.

Na korytarzu spotkał się z bratem Józefem, który spostrzegłszy nieprzyjaciela wewnątrz domu, zaprzestał bronić bramy i pospieszył z bronią w ręku na schody, odprowadzony przez wdowę.

— Idź siostró do moich, zaprowadź ich na strych. My tymczasem stopniowo będziemy schodów bronić. Ucałuj tam żonę i dzieci moje. Jeśli nas zamordują, zdaje mi się w jednym od poczytnym grobie. Tam się zobaczymy.

Nie potrzebowali czekać długo.

Wdowa odeszła. Dwaj bracia uściskali się milcząc, stanęli na schodach i oczekiwali nieprzyjaciół.

Z śmiertelną zemstą walił się tłum po wąskich kamiennych schodach.

— Ha! Tak was lubię, tak zbliża! — krzyczał Barabasza, podnosząc swój ciężki młot w obydwoh rękach i zaczął bić nim oblegających.

Szybko jak skrzydła wiatraku, a ciężko jak pioruny padały uderzenia jego, zawsze w jedno miejsce. Kogo młot trafił, ten nie wstał więcej. Schody zaczęły się zapełniać pośluzconymi czaszkami, połamanymi pierściami i powykręcanyimi członkami. Silny huk ciężkiego młota i śmiertelne stękanie konających odbijało się o sklepienie palacu.

Napastnicy boczeli uciekać bez pamięci, popychani przez stojących z tyłu. Olbrzym odpychał ich niezmordowanie, torując sobie drogę silnymi razami swego straszliwego młota.

Już ich odparł prawie do stóp schodów, kiedy jeden z najezdników, schowany we framudze, niepostrzeżony, przebił go długim nożem.

Z okropnym krzykiem zwrócił się ku swemu mordercy, cisnął młot za uciekającą przed nim tłuszcza z wyrazem okropnej nienawiści na twarzy, porwał ostatkiem sił mordercę swego za ramię i upadł z nim razem.

Strzały jego brata położyły czterech pierwszych trupem, który nadbiegli w pomoc mordercy. Nie mając więcej naboików, z obróconą kolbą rzucił się potem Józef do obrony brata, ale go rozbrojono po krótkiej walce.

Wprowadzili go do żelaznego krzyża na skałę, tam go rozkrzyżowali i zamordowali wśród okropnych męczarni.

Kiedy atlesta chciano oddzielić od mordercy, już z nich nie żył żaden. Ostatkami sił swoich zadusił rabusia i tak zakrzepły mu ręce w uścisku.

Musieli mu poobcinać ręce, ażeby z nich wydobyć Wołocha — trupem.

Z mężczyzn Tomasz jeden żył jeszcze z rodziny i oczekiwał w swoim pokoju rozbójników ze spokojną twarzą.

Siedział w poręczowym krześle, przed nim paliły się dwie świece woskowe, oświetlając dymne, ostre rysy arystokraty.

Siedział spokojnie, słyszał krzyk zbliżającej się do jego komnaty zgrai, a serce jego nie uderzyło głośnie, silniej niż przedtem.

Wyjął szeroką krzywą swą szablę i położył przed sobą na stole, potem oparł szerokie czoło na dłoni i patrzył na czarną klingę, zapisaną nieznanymi literami.

Krzyk był coraz bliższym. Naraz uderzono w drzwi; rozwarły się one, bo nie były nawet zamknięte.

Szlachcic wstał z krzesła, podniósł ze stołu szablę i oparł się lewą ręką o poręcz, niemo, zimno stojąc przed swoimi przeciwnikami.

Ci rzucili się na niego z przekleństwem, wywijając kosami, z których sączyła się krew zamordowanych.

Szlachcic stał nieruchomo, jak posąg, dopóki się jego przeciwnicy nie zbliżyli na dwa kroki. Wtedy zabłysnął w jego dłoni błyszczący czarny oręż i jeden z napastników padł na ziemię z roz-

ciętą czaszką; wyciągniętą przeciw niemu rękę drugiego odciął przy samem ramieniu.

Nie rzekł ani słowa. Ani jeden głos gniewu nie wyszedł z jego ust. Twarz jego została zimna, błądą, oczy jego nie obracały się, nie błyszczały, tylko patrzyły z pogardą, niemo, nieruchomo ponad głowy nieprzyjaciół, gdy tymczasem błyszcząca jego szablą ze zwinnością fechtmistrza chwytala wymierzone przeciw niemu uderzenia i rozdziałała cięcia na głowy i twarze przeciwników.

Ci wrzeszczeli wściekle. Im więcej zranił, tem wścieklej napadali niego. On zimno z pogardliwym walczył obliczem, dłoń obracała się tylko. Cała jego postać była nieruchoma, jak rysy jego twarzy.

Dowodził niejako, że w bitwie jeden szlachcic wart dziesięciu chłopów.

W końcu rzucona kosa ciężko zraniła jego wygiętą nogę. Bez jednego głosu bólu ukląkł szlachcic i walczył dalej. Oręż błyszczał ponad jego głową. Ciagle z tem samem bładem obliczem, z tym dumnym, nieruchomym wzrokiem.

Po długiej męczącej walce coraz bardziej się pochylał, w końcu upadł na wznak. Nie wymknął mu się z ust ani jeden głos bólu, ani jeden jęk śmiertelny.

Fale wścieklej tłuszczy przepłynęły ponad trupem szlachcica, a po chwili wzniosła się jego głowa, wbita na jego własnej szablę.

On był z rodziny ostatnim mężczyzną, którego musieli pokonać.

Z jego śmiercią tylko kobiety i dzieci zostały w domu.

Ale napastników więcej jak stu leżało na dziedzińcu, przed drzwiami i oknami, na schodach, a kiedy czasami umilkł okrzyk zwycięstwa, słyszeć się dawały głośnie stękania konających i rannych.

\* \* \*

Z całej rodziny zostały tylko kobiety i dzieci.

W tej chwili, kiedy najednocy wpadli do palacu, zaprowadziła je na strych wdowa w żalobie, zostawiając drzwi otworem, żeby mężczyźni, zmuszeni do odwrotu, łatwie znaleźli schronienie.

Tam czekali słabsi członkowie rodziny wyniku walki, słuchając z drżeniem odgłosu wrzawy wojennej i domyślając się z niej złego lub pomyślnego rozstrzygnięcia sprawy.

W końcu umilkły krzyki. Ucichł hałas najezdników. Ukryci na strychu myśleli, że odpędzono Wołochów i z radością wyczekiwali przybycia braci.

Ci byli już na tamtym świecie.

W końcu dały się słyszeć na schodach do strychu ciężkie kroki.

— To chód Barabasza! — krzyknęła wdowa z radością, a trzymając w rękach obydwa pistolety pobiegła ku drzwiom strychu.

Zamiast oczekiwanego białą ukazała się przed nią postać upojonego krwią Wołocha, ze zwycięską twarzą.

Z rozdzierającym krzykiem odskoczyła wdowa od wchodu, z rozpaczliwą odwagą wymierzyła pistolet do tego człowieka i wypaliła w serce, tak, że się przewrócił natychmiast i upadł na głowy cisnących się za nim towarzyszy.

Drugim strzałem uwolniła siebie od naigraszanego tłuszczy...

Teraz uchoďmy z tego miejsca. Co się tu działo potem, powinno być ukrytem przed okiem ludzkim.

Wymordowano dzieci i kobiety sromotnie wyszukanymi mękami, a trupy ich powyrzucano przez to okno, z którego Barabasza zrzucił bryły żelaza na głowy napastników.

Na sam koniec pozostawiono siwą babkę, żeby była świadkiem zgonu swej rodziny. Na szczęście, oczy jej już dawno nie widziały blasku słońca i niebawem pozwolił jej Bóg oglądać światłość wiekuista.

Wykopano wspólny grób dla pomordowanych i powrzucono w niego wszystkie, na wierzch dano małe płaczące niemowlę i zasypało je ziemią.

Z pod ziemi wydobywał się płacz jeszcze kilka godzin.

— Jeszcze brakuje jednej osoby, rzekli mordercy wrzucając trupy do grobu. Tylko jednaście jest, jeszcze ukrywa się jedna osoba.

I rzucili się nazad do palacu, połamali sprzęty, podarli dywany, przesukali każdy kąt strychu i piwnicy i nie mogli znaleźć tej jednej osoby, której brakowało.

W końcu jeden z nich począł do ścian pu-